

13 sierpnia

Staw

Spiekota sierpniowego poranka stanowiła zapowiedź nie tylko popołudniowych zajęć wiejskiej gawiedzi, ale również rytmu całego dnia. Palące słońce i bezchmurne niebo oznaczało ocieranie z czoła znacznie większej ilości potu. Można by pomyśleć, że winien temu wyjątkowo gorący dzień. Owszem. Jednak głównym sprawcą stawał się pośpiech. W pośpiechu uwijano się dookoła trzody, podwórka, kuchni, aby jak najwcześniej dołączyć do pochodu zmierzającego w kierunku Jankowego stawu. Skrzypiały rowery, gwizdały młodzieńcze usta, ale prym wiodły głośne rozmowy i jeszcze głośniejszy śmiech.

Ktoś siedział na ramie, ktoś na bagażniku. Na bagażniku często też się stało, a ręce trzymało na ramionach prowadzącego. Taki załadowany rower potrafił drogę robić podwójną. Od rowu do rowu, od skraju do skraju, bo przy trzyosobowym załadunku ciężko było utrzymać równowagę. Jednak po całodniowej robocie człowiekowi marzyło się te nogi skądś zwiesić czy gdzieś postawić. Na ramach siadały dziewczęta. Same z siebie, ale i wołane przez kierującego. Od razu wiadomo było, kto się ku komu ma, które serce dla czyjego bije. Jak się wiozło taką pannę przed sobą, sięgając do kierownicy, ramionami można było prawie ją objąć. A przy sierpniowym upale w dodatku poczuć jej lekko odziane ciało.

Ten, co szedł na nogach, wcale nie posuwał się wolniej niż rowery. Ręczniki przez szyję przewieszone. Chłopcy bez koszulek. We włosach niejednemu trochę słomy się zawieruszyło, bo jeszcze przed chwilą widłami w oborze machał.

Ten, co młodsze rodzeństwo prowadził, napomniany przed wyjściem słowami matki „Tylko mi się tam nie potopcie!”, teraz korzystał jeszcze z wolności, póki oczu dookoła głowy mieć nie musiał.

Z drogi trzeba było zejść raz, może dwa. Jak kto koniem z furmanką jechał i żeby przy chałupie na jakiegoś guzdralskiego poczekać, co to spóźniony obiad kończył, a lecąc do furtki, ostatni kartofel przetykał i ścierał z twarzy ślady maślanki.

Najlepszą podwózką do Jankowego stawu był wóz drabiniasty, jeśli się trafiło, że z pola akurat zjeżdżał. Kto na nogach szedł, to wskoczył, kto rowerem jechał, to się belki jedną ręką chycił. Siadali w tym wozie ciasno. Jak komu szczebel pod plecami zdarzył, to oparty szczęśliwie jechał. Co śmielszy tak się położyć umiał, żeby głową na dziewczęce kolana trafić.

Staw od wieków i pokoleń należał do rodziny Kostrzyckich, choć dziś mało kto pamiętał, że tak naprawdę ma jednego właściciela, bo cała wieś traktowała go jak własny. Kostrzyckich był w zasadzie tylko z nazwy. Kto chciał, to ryby do niego wpuszczał, kto chciał, ten łowił. Ale gdy kto łowić lubił zanadto, a zarybiać już niekoniecznie, to mu ludziska potrafili pokazać, gdzie raki zimują.

Jednak w to upalne popołudnie nikt o rybach nie myślał. Staw pełen był ruchu i gwaru – krzyków młodzieży, pluskającej wody, fal od skoków z pomostu i pisków zawstydzonych dziewcząt. Pomiędzy trzcina, sitowiem i wysokimi pałkami tataraku tętniło życie.

Wszędzie zalegały pasiaste ręczniki. Rzucone pod brzoza rowery plątały się ze sobą. Kierownice w bagażnikach, pedały między szprychami. Ten z cierpliwym usposobieniem potrafił swój rower po kąpielach wyciągnąć w jako takim stanie, ale ten, który prędką miał naturę albo dziewczętom ubrania i ręczniki

podkrażał, nieraz w domu za powykrzywiane szprychy szmatał przez łeb dostał.

Bywał i prowiant. Słoik kompotu. Drożdżowe. Mirabelki i jabłka.

Męska część towarzystwa kładła się gdziekolwiek. Najczęściej na rozgrzanym piachu, na deskach pomostu. Nogi swobodnie zwisały im z rampy, a zanurzane stopy wprawiały wodę w ruch.

– I raz, dwa, trzy! – skandowali chłopcy, a po chwili ciało Basi zetknęło się z impetem z taflą wody.

Dziewczyna najwyraźniej niewiele sobie robiła z ich poczyną. Ani trochę niezrażona, wyszła na brzeg, wykręciła włosy i stanęła nad leżącą na kocu Janią. Krople spływające po jej twarzy, rękach i piersiach spadały prosto na plecy przyjaciółki. Oderwawszy wzrok od książki, Janka odwróciła głowę i spojrzała na mokrą Basię, której sylwetka zasłaniała jej rażące słońce.

– Boże, nawet nie zauważyłam, kiedy cię wrzucili. – Osloniła oczy dłonią. – Czemu nie krzyczałaś?

– A po co? Oni się cieszą, że mnie wrzucili, a ja mam już święty spokój. – Położyła się obok na kocu, twarzą do słońca i zamknęła oczy. – Te, co tam piszczą, do wieczora będą się wokół siebie nerwowo oglądać. A ja, patrz, zamykam oczy i śpię.

– Tyle że im właśnie o te piszczenia i ucieczki chodzi. W tym cała zabawa, a ty im wszystko zepsułaś. – Jania uśmiechnęła się, ciesząc się ze zwycięstwa przyjaciółki nad męskimi podchodami.

– To ja się widocznie nie znam na zabawie. – Basia sięgnęła po ręcznik i nałożyła go na twarz.

Delikatny wiatr, który przedzierał się przez zarośla, chłodził rozgrzane słońcem młode ciała.

– Poczytam ci, chcesz? – zaproponowała jej przyjaciółka.

– Czytaj, Jania, lubię, jak mi czytasz. Gdybym zasnęła, to nie z nudów, a z błogości. – Uniosła róg ręcznika i posłała jej ręką pocałunek. – Janek przyjechał – dodała, zerknąwszy za plecy przyjaciółki.

Janka zaczęła czytać.

Tymczasem Janek mocował się z wojskowym pontonem. Kiedy już udało mu się ściągnąć go z auta, przymocował wiosła i zaczął pchać łódź w stronę wody. Natychmiast obskoczył go wianuszek dziewcząt. Wystarczyłoby jedno jego słowo, a gotowe były nawet wiosłować, byle tylko móc znaleźć się z nim sam na sam pośrodku stawu. A przy okazji podchwytywać zazdrosne spojrzenia wszystkich dziewcząt, które pozostały na brzegu.

– Patrz, Jurek, przed chwilą wszystkie były nasze. Pojawia się Janek i małego rozumu dostają – jakby od niechcenia skomentował Stasiak, który już od przedszkola upatrzył sobie Jurka na kolegę. Jurkowi nie zawsze było z nim po drodze w gadce czy poglądach, ale lubił to jego przywiązanie do swojej osoby.

– E tam wszystkie... – odpowiedział zagadnięty, po czym oparł się na łokciach i przebiegł wzrokiem porozkładane ręczniki – Baśka leży.

– Baśka to wiadomo. Widziałeś, żeby kiedykolwiek się za kimś uganiała?

– Teresa też leży obok.

– Teresa to chyba ma w głowie już kogoś innego. – Stasiak uniósł wymownie brwi.

– Tego Achima? Myślisz, że coś jest na rzeczy? – Jurek zastanawiał się, czemu draży temat. Terenia darzyła go uczuciem latami. A teraz, gdy na nią spogląda, nie napotyka już tych oczu, które niedawno ukradkiem go podziwiała. Czy było mu żal? I czy żal jej, czy tego podziwu? Otrząsnął się z zamyślenia i dodał pośpiesznie. – O, i Celinka leży.

– Celinka leży, bo istnieje ryzyko, że mogłaby ponton zatopić – stwierdził jego towarzysz ze śmiechem.

– Na szczęście Celinka zna odwieczną prawdę, że lepiej jest mieć za duże ciało niż za duże braki w głowie. – Bohaterka rozmowy najwyraźniej usłyszała niezbyt dyskretną uwagę Staszka i postanowiła wtrącić coś od siebie. Bez najmniejszej krępacji obróciła swoje dorodne ciało okrągłymi pośladkami do słońca.

Leżąc na brzuchu Jania wciąż czytała miarowo i spokojnie. Zbliżający się z tyłu Jan położył na ustach palec wskazujący, sygnalizując Basi, żeby nie zdradziła jego obecności. Zatrzymał się i słuchał. Stał tak długo, może zbyt długo, bo zmęczone nogi kazały mu przykucnąć. Usłyszawszy ruch, Jania odwróciła głowę.

– Może powinnam pobierać opłaty za darmowe letnie słuchowisko stawowe? – powiedziała raczej z rozbawieniem niż z kąśliwością, wprawiając tym Baškę w zdumienie.

– Powinnaś. – W głosie Janka z kolei brzmiała powaga, a wręcz rezygnacja, jakby z góry wiedział, że odejdzie z kwitkiem. – Masz ochotę, Janka, na przeprawę przez rzęsę i sitowie? – zaproponował.

– Dziękuję, ale raczej zostanę i poczytam Basi. Przerwałeś nam w bardzo intrygującym momencie. – Grzeczny uśmiech nie schodził jej z twarzy. Ale nie było w nim złośliwości. Taką przynajmniej miała nadzieję.

– W porządku. Rozumiem i przepraszam. – Ale naprawdę ani nie rozumiał, ani nie chciał przeproszać. Mrugnął jednym okiem porozumiewawczo do Basi i odszedł szybkim krokiem. Zbyt szybkim. Jakby chciał zapomnieć.

– Flisak się znalazł! – Jania na powrót wsadziła nos w książkę. Miała ochotę się tam zamknąć cała.

Baška nie skomentowała. Bo i po co.

– Czytaj! – ponagliła tylko.



W słońcu jest czasami coś takiego, jakby się potrafiło z człowiekiem porozumieć. Jak gdyby spełniało jego pragnienia. W ten sierpniowy wieczór czerwieniało tak mocno, że nawet będąc już na skraju nieba, dosięgało swoimi promieniami brązowych, rozgrzanych ciał. Nikt jakoś nie kwapił się, żeby zerwać się z ciepłego piasku i powrócić do podwórkowych obowiązków.

– Jania! Janeczko! Janusiu! Ty mnie zabijesz! – Jurek nachylił się nad siostrą.

– Pewnego dnia na pewno. Zresztą chyba codziennie mam na to ochotę. Powstrzymuje mnie nieunikniona rozpacz rodziców i ilość obowiązków, która by na mnie po tobie w spadku przeszła. Co żeś zrobił?

Janka nawet cieszyła się, że ją zerwał. Zrobiło się już zdecydowanie za późno i szkoda jej było rodziców, którzy sami muszą biegać, żeby wszystko oporządzić – wprawdzie bez pretensji, ale na pewno z trudem.

– Jestem mistrzem w pikutach. Wiesz o tym? – Opadł na trawę.

– Wiem. – Włożyła jedną nogę w nogawkę krótkich spodenek.

– Zawsze wygrywam. Jaki mi nóż dasz, za każdym razem wbiję.

– No wbijesz. – Druga noga trafiła w nogawkę.

– I dziś przegrałem, Jania! Rozumiesz?

– Wielka mi tragedia. – Wywróciła bluzkę na prawą stronę.

– Tragedia, bo grałem o ciebie.

– O mnie? – parsknęła, trzepiąc ręcznik z piachu. – Jak możesz grać o mnie? Odsprzedałeś mnie do wsi obok czy jak? – Bawiła ją ta panika brata.

– Graliśmy wszyscy. Chłopaki po kolei odpadały. Zostałem ja i Janek. Stwierdził, że jak wygram, to ponton mój. Ale że on też chce czegoś ode mnie, jak wygra. Nie zastanawiałem się, o co mu chodzi. Od razu się zgodziłem. Przecież zawsze wygrywam. – Wciąż siedząc na trawie, uniósł ku niej wzrok.

– I czego chciał? – Spakowała rzeczy i wcisnęła na bagażnik swój tobolek.

– Żeby, jak przegram, namówił ciebie na ten ponton. Żebyś z nim popłynęła! Janka, przecież wiesz, że ja nigdy nie przegrywam! – wykrzyknął prawie z rozpaczą. Kiwał się przy tym przed nią w przód i w tył, jakby błagał o wybaczenie.

– Ale przegrałeś! – Popatrzyła na niego w przeblysku zrozumienia. W tym wzroku było wszystko. Każda dochowana przed

rodzicami tajemnica, wszystkie pożyczone mu pieniądze, postawione pod nos rosoły po nocnym pijaństwie... To spojrzenie mówiło wyraźnie: „Bardzo cię kochałam, ale właśnie przestałam”.

Mocując się z bagażnikiem, biła się z myślami. Przecież nie jest niewolnicą. Może wsiąść na siodełko, złapać kierownicę, postawić stopę na pedale i ruszyć. Przed siebie. Do domu. Zresztą była w domu potrzebna. A oni niech rozgrywają to między sobą. Niech Jurek da mu coś innego, a nie siostrę wypożycza. To już nie czasy, kiedy się człowiekiem handlowało. O nie! Nigdy mu tego nie wybaczy! Sęk w tym, że trochę jej było tego Jurka szkoda. Głupi, bo głupi, ale tu jednak w grę wchodził honor. A czym jest honor, Jania rozumiała aż za dobrze.

Uniosła brodę, rzuciła rower i zaczęła iść w kierunku stojącego na brzegu Janka. Po drodze zatrzymała się na chwilę, odwróciła się przez ramię i wymierzyła palec w Jurka.

– A ty pamiętaj! Od dziś nie jesteś już moim bratem! – wycodziła.

– Myślę, że nie mogłeś schrzanić tego bardziej – podsumowała Baśka, gdy Jania była już daleko. – Ale z drugiej strony, patrz. Niby idzie jak na skazanie, a przecież widać w tym, jak kroki stawia, że choć dusza nie chce, to ciało ukryć uczucia nie potrafi. Jakby go nienawidziła, to może jakoś by to przełknęła, ale nie, gdy...

– ...go kocha? – dokończył.

– Do miłości daleka droga, Jurek. Ale ty zastanów się nad drogą, która poprowadzi cię do jej wybaczenia. A powiadam ci, że prosta nie będzie. – Wsiadła na rower i nie czekając na niego, ruszyła w stronę młyna, a potem dalej do domu.



– Zadowolony?! – Janka wsiadła do pontonu z takim impetem, że zdawało się, jakby od tej siły cała woda ze stawu miała się rozlać po pobliskich polach.

Chłopak stał na brzegu, trzymając linkę zabezpieczającą łódkę przed odpłynięciem.

– Nie. Zadowolony byłbym wtedy, gdybyś wcześniej sama powiedziała, że z chęcią ze mną popłyniesz. Teraz czuję jedynie zażenowanie. Gorzej już chyba wyjść nie mogło.

Powoli i spokojnie wszedł do pontonu, wciągnął linkę i złapał za wiosła.

Janka zachlupotała stopami zanurzonymi w wodzie, która zebrała się na dnie. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi ramionami.

– Mam tylko jedną prośbę. Skoro już stało się, jak się stało, to płynijmy przez ten staw. Ale nie mów do mnie dzisiaj nic. Ani słowa. Tyle przynajmniej możesz dla mnie zrobić.

Skinął głową na znak zgody.

Położyła głowę na napompowanych bokach, wbiła wzrok w wodę i zapatrzyła się w gęstą zieloną rzęsę przepływającą powoli przed jej oczami. Wyciągnęła rękę, wsunęła ją w wodę i rozłożywszy szeroko palce, obserwowała, jak przesuwa się pomiędzy nimi. Czuła zapach tataraku i palącego się ogniska dochodzący nie wiadomo skąd. W wodzie odbijało się czerwone słońce i cienie wysokich, smukłych brzoź sięgające miejscami aż do połowy akwenu. Dziewczyna raz po raz przymykała oczy i na powrót je otwierała.

Leżąc na brzegu i patrząc na wodę, nie sądziła, że na środku można ją zobaczyć zupełnie inaczej. Co rusz zaciskała palce i zatrzymywała przepływającą rzęsę, aby po chwili otworzyć dłoń i puścić ją wolno.

Janek patrzył na jej małą rękę i to opalone ciało skulone w rogu pontonu. Jakże żałował tego, co się stało. Tego, jak mogła się poczuć. A przecież to miała być tylko zabawa.

Gdy dobili do brzegu, wyszła z pontonu, nie patrząc na niego. Już o wiele spokojniejsza. Podeszła do roweru, odwróciła głowę i powiedziała:

– Pa.